

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 5

Katowice, 29-go stycznia

1933

Niedziela czwarta po Trzech Królach.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Rzymian, r. 13.

Bracia: Nie bądźcie nikomu nic winni, tylko abyście się społecznie miłowali; bo kto miłuje bliźniego, zakon wypełnił. Albowiem: Nie będziesz cudzołożył. Nie będziesz zabijał. Nie będziesz kradł. Nie będziesz mówił świadectwa fałszywego. Nie będziesz pożałował: i jeśli jest które insze przykazanie, w tem słowie się zamyka: Będziesz miłował bliźniego twego jako siebie samego. Miłość bliźniego złego nie czyni. Wypełnienie tedy zakonu jest miłość.

EWANGELJA

u św. Mateusza r. VIII, w. 23—27.

W on czas: Gdy Jezus wstąpił do łodzi, weszli za Nim uczniowie Jego. A oto burza wielka zerwała się na morzu, tak, iż fale zaczęły łódź zalewać; On tymczasem spał. I zbliżyli się doń uczniowie Jego i obudzili Go, mówiąc: Panie, ratuj nas, giniemy! Jezus zaś rzekł im: Dlaczego się boicie, wy małej wiary? I zaraz powstał, nakazał wichrom i morzu, i stała się wielka cisza. Ludzie zaś zdumiewali się i mówili: Kimże On jest, że wichry i morze są Mu posłuszne?

Na uroczystość Oczyszczenia Najśw. M. P.

LEKCJA

z proroctwa Malachjasza, r. III.

To mówi Pan Bóg: Oto ja posyłam Anioła mego, a nagotuje drogę przed obliczem mojem. A wnet przyjdzie do kościoła swego Panujący, którego wy szukacie, i Anioł przymierza, którego wy chcecie. Oto! idzie, mówi Pan Zastępów, a kto będzie mógł myślał ogarnąć dzień przyjscia Jego? i kto się ostoi na widzenie jego? Bo On, jako ogień wypalający, i jako ziele farbierskie; a usiądzie wypalając i wyczyszczając srebro, i wyczyści Syny Lewi, i precedzi jako złoto i jako srebro, i będą ofiarować Panu ofiary sprawiedliwości. I spodoba się Panu ofiara Judy i Jeruzalem, jako dni wieku, i jako dawne lata; mówi Pan Wszechmogący.

EWANGELJA

u św. Łukasza w rozdziale II, wiersz 22—32.

W on czas: Po upływie dni oczyszczenia Marii, według prawa Mojżeszowego, zanieśli Jezusa do Jeruzolimy, aby Go stawić przed Panem, jako przepisano w zakonie Pańskim, iż: „Każdy pierworodny płód męski ma być Panu poświęcony“, aby złożyć ofiarę z pary synogarlic, albo z dwojga gołąbków“,

jak to nakazywał zakon Pański. — A oto żył w Jeruzolimie człowiek, imieniem Symeon, mąż sprawiedliwy i pobożny, który oczekiwał pocieszenia Izraela, a Duch Święty był z nim. I od Ducha Świętego otrzymał objawienie, że nie umrze, póki nie ujrzy Chrystusa Pańskiego. A wiedziony Duchem, przybył do świątyni. A gdy wnosili Dziecię Jezus Rodzice Jego, aby spełnić za Nie przepis prawa, wtedy on wziął Je w objęcia swe i wielił Boga, i rzekł: Teraz wypuszczasz sługę Swego, Panie, jako mówiło słowo Twe, w pokoju; albowiem wzrok mój ujrział Twe Zbawienie, któreś zgotował wobec wszystkich ludów: Światło wśród pogan na ich oświecenie, i chwałę ludu Twego, Izraela.

NAUKA.

„Gdy Jezus wstąpił do łodzi“.

Tą łodzią Piotrową to Kościół św. Złożone są w niej największe skarby ludzkości: wiara i oświata. Przez wszystkie burze dziejowe, przez morze krwi, wylanej we wojnie światowej i obecnie przez odmety komunizmu, który chce zatopić chrześcijańską kulturę i zdobycze dwudziestowiekowej pracy Kościoła św., przepłynie ta łódka Piotrowa zwycięsko i uratuje dla ludzkości te skarby nieocenione, gdyż znajduje się w niej Jezus. Pozornie (raczej — widzialnie) steruje Kościołem św. papież, zwykle zgrzybiały staruszek, dźwigający z trudem brzemień swoich sędziwych lat... W rzeczywistości, choć niewidzialnie, kieruje ręką Ojca św. sam Bóg!

Niech nas tedy nie przestrasza, gdy fale zepsucia i zgorzenia zalewają miejscami dusze ludzkie i gdy przeciwno Kościołowi i jego sługom miotają jego wrogowie stek oszczerstw, gdy spełnia się to, co przepowiedział apostołom Zbawiciel: „Wszystko złe na was mówić będą, kłamiąc, dla mnie!“ — Wierzmy niezachwianie, że Bóg jest w naszej duszy, a Chrystus w swoim Kościele.

Przemienie obecna zawierucha, wypłynie jak zawsze łódka Piotrowa, a z nią i my, o ile jej trzymać się będziemy.

W tem tylko tkwi niebezpieczeństwo, że pod wpływem złych gazet, bezbożnych mów na zebraniach czy wiecach, wskutek doznanych krzywd i przykrych zawodów może w nas zachwiać się wiara albo może niejeden sobie wmówić, że nie sprzeniewierzy się Panu Bogu ani wierze świętej, chociaż będzie uczęszczał na takie zebrania, gdzie mówcy buntują przeciwko Kościołowi św. i jego prawowitym zwierzchnikom! Nie ludźmy się! „Kto nie jest ze mną — mówi Chrystus — przeciwko mnie jest.. Kto nie gromadzi ze mną, rozprasza!“

Stójmy wiernie przy Kościele i Chrystusie! Ci, którzy obiecują wszystkim raj na ziemi, kłamią, jak szatan, obiecujący pierwszym rodzicom: „Będziecie równi Bogu!“ Pogromi ich Ten, któremu wichry i morze są posłuszne. Amen.

Święto Światła.

(Na Matkę Boską Gromniczną).

Każdy wie, jak to bywa po wszystkich przybytkach bożych, gdzie ludzie żyją wierni dawnym obyczajom i stary obyczaj praojcowy pojmują i szanują i miłują.

Kościół pełen narodu. — U każdego w kościele w ręku gromnica. Od lampki niegasnącej u ołtarza zaczerpnął sługa kościelny ognia. — I oto od jednej świecy zapala się druga... — Udziela ognia jeden drugiemu — bierze jeden od drugiego — i dalej oddaje i rośnie fala jarząca szybciej, coraz szybciej — i po niedługich już chwilach cała świątynia gorzeje jarzącym światłem.

Świat cały jest — a przynajmniej być powinien — taką świątynią pełną „Chwały Bożej“. Wszystko — wszystkie stosunki wśród ludzi i użytkowanie sił przyrody powinny świecić takim łaodem i zgodnym zespołem.

Tymczasem ciemności pokryły ziemię całą. — A i w naszym narodzie nie jest lepiej...

I w naszym narodzie poczynają się chwiać stare wypróbowane zasady. Pod wpływem złych ludzi poczynają chwiać się w poglądach nawet dobrzy. Wszędzie gromadzi się zło. Na jedną dobrą gazetę 10 złych ci ofiarują. Na 10 złych książek pokażą ci zaledwie jedną dobrą. Z plugawym towarem drukowanym zbliżają się nawet tuż pod świątynie nasze w dzień niedzielny.

Pod naporem tak licznych zła poczynają się mącić w głowach naszych. Tracimy, to co ludzie nazywają „orientacją“. Szukamy nowych proroków i odwracamy się od Jezusa. Wrogów, szkodników, których należy zwalczać, wspieramy — a przyjaciół, których należy wspierać, zwalczamy. Bo brak nam światła. Światła nam trzeba.

Światła nie mamy — światła nam trzeba, coby oświeciło drogę naszą. Oświaty nam trzeba — bo zginiemy... Bez ciągłego oświecenia gdzie podzię się nasza dzielność — gdzie siła, moc, energia?!

Z lat jeszcze dziecinnych pamiętamy może obrazek Matki Bożej Gromnicznej taki, jaki był w domu naszym rodzicielskim: gromada rozżartych wilków gotujących się do najścia na ludzkie osiedla. Ale Matka Boża zastępuje im drogę. — W ręku jej gromnica: „bierzcie ludzie światło — udzielajcie jedni drugim“ — światła nam trzeba, światła, ognia bożego ku życiu wszechstronnie lepszemu...

Światła, światła, światła: w tem zbawienie!

Obraz ten o wilkach i gromnicy do duszy naszej i pod innym względem możemy zastosować. Często do sennej duszy naszej zbliżają się wilki w postaci pokus, zwłaszcza w godzinę śmierci. I wtedy trzeba nam światła gromnicy i pomocy Najświętszej Paniętki

Matka Boska Gromniczna ma nas strzec od wszelkich nieszcześć. Podczas burzy zapala się gromnicę, by nas uchroniła od uderzenia piorunu. Choremu w chwili konania podaje się do ręki gromnicę, by Chrystus, pogromca złego ducha, nie opuścił człowieka w ostatniej godzinie. Był zwyczaj u ludu (może jest jeszcze?), że w dzień Matki Boskiej Gromnicznej, po powrocie z kościoła modlono się w domu przy zapalanej gromnicy na tę intencję, by każdy mógł umrzeć z gromnicą w ręku. Do zapalanej gromnicy przykładano szyję i końce palców u

rąk, co miało chronić od chorób. U futryny drzwi lub na belce sufitu wypalano gromnicą znak krzyża świętego. Dla zabezpieczenia się od uderzenia piorunu podczas burz letnich chodzono z zapaloną gromnicą po podwórzu, a następnie stawiano gromnicę w pokoju na oknie i tam stała przez dni ośm.

Dzisiaj dużo tych zwyczajów nawet na wsi już może jest w stanie zanikania. Młode pokolenie, wychowane w duchu „postępu“ i „kultury“ często wstydy się swych ludowych zwyczajów. A szkoda, bo są nietylko bardzo piękne ale i pożyteczne. Czyż myśl o konieczności opieki Bożej nad wszystkimi sprawami naszymi, nad dobytkiem naszym, nad zdrowiem i życiem naszym, czy myśl o tem, że kiedyś będzie trzeba umierać i rachunek z wszystkiego zdawać — przed Sędzią, którego oszukać nie można — czyż myśl taka nie jest zbawienna i wychowawcza dla całego narodu?

Macierzyńskie wychowanie

Pewna matka mająca czteroletniego synka, zapytała raz mądrego kapłana, kiedy ma rozpocząć wychowanie swego czteroletniego synka, na co jej odrzekł:

— Straciłaś już pani cztery lata, jeśliś nie dotąd nie zrobiła. W chwili, gdy pierwszy uśmiech zajaśnił na twarzy twego dziecka, należało korzystać ze sposobności.

Nigdy więc zbyt wczesnie wychowania rozpocząć nie można; im rychlej je matka podejmie, tem pewniejsza może być swego dzieła, musi jednak postępować roztropnie i umiejętnie.

Ludzą się matki, które myślą, że zbyt pobłażając dzieciom, okazują im prawdziwą, gorącą miłość, bo takim pobłażaniem w gruncie rzeczy dogadza samej sobie, a dziecku najgorszą szkodę przynosi. Malec wnet miarkuje, że krzykiem przeprowadzi swą wolę i o wszystko bućceć będzie, a takie psute dziecko, zarówno jak człowiek uczący się grać na trąbie, są bardzo niemilym towarzyszem.

W postępowaniu z dziećmi łączyć trzeba koniecznie łagodność ze stanowczością. Jeśli matka ani razu nie dostanie bólu głowy z gniewu na dzieci, póki małe, dozna nieraz bólu serca, gdy dorosną. Nie trzeba swobody dziecka krępować niepotrzebnymi zakazami. Wielki błąd popełniasz, matko, wyobrażając sobie, że twój chłopak jest szklany i ciągle mu powtarzając: „nie rób tego“, albo „nie rób tamtego“, z obawy, żeby się nie rozbił. Jeśli jednak raz czegoś odmówisz lub coś nakazesz, to trwaj przy swoim. Bo jak dziecko od samego początku nie nauczy się, że matki „tak“ znaczy t a k, a jej „nie“ znaczy n i e, to nabierze zwyczaju grymaszenia i napierania się, aby cię skłonić do odwołania wyroku, a pamiętaj, że jeśli matka ustąpi, to powagę swoją osłabi o czasem zupełnie utraci. A ta powaga macierzyńska to rzecz najważniejsza, to podstawa twojego wpływu na dziecko.

Nie przyrzekaj dziecku nigdy tego, czego nie dotrzymasz: ani klapsa, ani ciasteczka — bo raz straciwszy jego zaufanie, nie potrafisz go już odzyskać. Szczęśliwa matka, która powiedzieć może: Nigdy memu dziecku nie skłamałam, nigdy go nie zwiodłam nawet dla jego dobra.

Lecz jeszcze jedna przestroga. Matka, która nieustannie poświęca dzieciom cały swój czas, — wszystkie siły, każdy grosz i każdą przyjemność osobistą, uczy je, aby tego zawsze od niej wymaga-

ty. Przez zbytek dobroci wychowuje samolubów. Jeśli matka nosi starą suknię dlatego, aby syn próżniak mógł mieć nowe ubranie, — jeśli zamęcza się pracą dlatego, by córuni na nowy kapelusz starczyło — sama się dobrowolnie przyczynia do wyrobienia w dzieciach próżności i samolubstwa, i tego się doczeka, że ją lekceważyc będą. Roztropna matka nie zapomni o tem, że dla dzieci jest głową swego domu i że od najmłodszych lat przywykać powinny dzieci, spoglądając w górę ku matce a nie zgóry na matkę.

Jak litery, wryte na korze młodego drzewa, rosną wraz z drzewem, tak samo też wzrastają wraz z dzieckiem pojęcia i zasady, które matka w jego umysł wpoila. Zdawałoby się czasem mogło, że nauki kochającej matki poszły na marne; po wielu latach pokaże się jednak, że niezapomnianymi zostały. Oto co mi opowiadał bowiem zacny starzec.

Kiedym był małym dzieckiem, matka moja kazała mi klękać przy sobie, i trzymając rękę na mej głowie, modliła się cicho. Umarła wcześniej, zanim potrafiłem się poznać na jej wartości, a ja, sam sobie pozostawiony, nieraz nadużywałem swobody. Jak wielu innych, tak i ja czulem w sobie złe skłonności, ale gdy im pofolgować chciałem, miałem wrażenie, że mnie coś odciąga, zupełnie jakby mnie powstrzymywała delikatna ręka na mej głowie położona. Podróżowałem po obcych krajach i na różne byłem wystawiony pokusy, ale ilekroć ulec im miałem, w mojem sercu odzywał się ukochany, niezapomniany głos matki: „Nie popełniaj tego, mój synu, nie grzesz przeciwko Bogu“.

I to mnie ratowało.

Obrazek z powstania styczniowego.

(Dokończenie.)

Sięgnął do szuflady stolika, i odczuł pod palcami zimną stal rewolweru. Potem kartkę białą, dawno już przygotowaną, do framugi okna wetknął. Na niej słowa . . . „Zegnaj matko! Idę do powstania . . . Módl się za swego Olka“. I równie szybko i cicho jak tamten nieznany posłaniec przepadł wkrótce cień jego w mrokach mroźnej, styczniowej nocy roku 1863.

Minęły od tej nocy dni pełne krwawego znoju, walczki po lasach i chytrych napadów na tyły regularnej moskiewskiej armji, co z głębi Rosji szła tępic „buntowuszczyków“, druzgotać ich piersi luną nadziei rozgrzane.

Minęły od tego dnia noce męczące koszmarem strasznych wizji i trwoga przed kajdanami lochów i tajgami Sybiru, noce nigdy nieprzespane, a jednak pełne wiary w tęczę wolności opromienione jutro.

Rzadkie zwycięstwa i początkowe powodzenia garstki tych, co walczyli, zniweczył głód i zdrady. W krótkich chwilach odpoczynków obok marzeń o laurach chwały, jakże często nieuchwytną zjawą był kęs czarnego chleba a nierzadko kubek krynicznej wody całodziennym posiłkiem.

Skradziony kędyś worek ziemniaków, przez dzielną jakąś szlachciankę dostarczone trochę krup i mąki — żywiło nieledwie całe oddziały.

Konie padały bez paszy, — ludziom pękały wargi z pragnienia i głodu. Na polskie piersi, osłonięne tylko puklerzem bohaterstwa, leciał grad kul,

a odpowiedzią a jakże często był okrzyk: Jezus, Marja i bój do ostatniej kropli krwi, bój na gołe szable tylko, lub na zakrzywione chłopskie kosy.

Brakowało i nabożów!

— Wiadomość trzeba zanieść. Droga długa i niebezpieczna. Kto pójdzie? — przytłumiony głos dowódcy zadzwieczał nutą zapytania... W tej garstce, do której mówił, nie brakło bohaterstwa i odwagi, lecz brakło sił...

Głodni byli i znużeni.

— Kto pójdzie? — padło znów pytanie.

— Ja — ozwie się czyjś cichy głos i smukła postać wyłoni się z mroku.

Najmłodszy był z nich, dziecko prawie. Dowódca spojrzał nań, coś jak ból przemknęło mu przez twarz i zgasło.

— Chodźcie...

W godzinę później Olek wyszedł z obozu, przyciskając do piersi szyfrem pisana kartkę. Ciemno było — noc!

Szedł głodny i znużony, sam jeden, a jednak w głowie snuły mu się marzenia cudne, radosne.

Widział Polskę wolną, niepodległą, widział zdjęte z niej kajdany... i widział jeszcze w dali dumne oczy swej matki, co patrzyć będą nań a mówić: Tyś to sprawił, synu mój najmilszy, ty...

Podniecony obrazami przyszłości cudnej a w cieniach nocy dziwnie bliskiej szedł coraz szybciej, żwawiej i coraz... nieostrożniej.

Szedł może godzinę, dwie, gdy nagle ujrzał zdala przez pnie drzew przeblyskujące światło. Przyczał się w sobie, zcichł. Poznał patrol kozacki, przy niewielkiem ognisku. Coś jęknięło w duszy, zaskoczyło łękiem śmierci. Odwrócił się i bez namysłu jał uciekać w przeciwną stronę, kartkę tajemniczą trzymając tuż przy ustach, aby, jeśli wpadnie w ich ręce, połknąć ją, zniszczyć.

Nie dostrzegli go wprawdzie, lecz słyszeli szmer trzaśniętej gałęzi i może chlupot nóg w rozmięklej śniegami ziemi.

Porwali się, nadsłuchując.

— „Kto idiot“ — zakrzyknął jeden i w stronę tajemniczych szmerów podniósł stalową lufę karabinu. Ostry świst przeszył powietrze i o kilka stóp od patrolu cicho, nawet bez jęku, osunął się Olek na miękką śnieg.

Żył jeszcze, lecz wraza kula trafiła w pierś a krew żywa, czerwona połała się strumieniem. Ostatnim wysiłkiem czołgał się teraz po ziemi, byle dalej, byle od nich...

— Trafili — szepnął głucho, gdy już sił wlec się nie stało a duże kępy jałowcu osłoniły go szczelnie i przytulnie.

Leżał teraz bez siły, a duża plama krwi, niby kraśny mak czerwieniła się teraz w pierwszych blaskach świtu. Kartki połknąć już nie mógł, więc podarł ją w śniegu i w krwi swej zagrzebał. Potem usta silnie przytknął do świętego szkaplerza z trudem wyciągniętego z pod bluzy i jak do jedynego towarzysza coś mówił, jęczał. Zegnał matkę-starszkę ostatniem cichem pożegnaniem: twarzą dziwnie pogodną, twarzą bohatera patrzył w jaśniejący błękit nieba.

Wyciągnął jeszcze ręce i skonał.

Rozegrały się mury cytadeli jękiem katuszy, brzękiem kajdan i dławionym szeptem — „Jeszcze Polska nie zginęła“. Na stokach cytadeli oplwane, wytarzane po lochach, a jednak tak świetlane zawisły na szubienicach postacie bohaterów. A ko-

ściotrupy i cienie ludzkie, opuchłe z zimna i głodu, porozbijane po schodach więzień, szły na Sybir, z dwudziestofuntowymi kajdanami u nóg.

Olku, młody bohaterze — czyż nie lepiej tobie niż im? Pod jodeł cieniem leżysz, i co świt i co wieczór sny ci się śnią cudne o wolności, a las ci szepce: „Nie zgineła“.

Z zawiązanemi oczyma.

Ojciec Atanazy zamknął brewjarsz i poprzez napół otwarte okna wyjrzał na dziedziniec, gdzie gromadka pensjonarzy, gotowych do wyjazdu na wakacje, czekała na omnibus, który ich miał zawieść na dworzec.

Chwilę im się przyglądał, następnie zabrał się do uporządkowania swego pokoju, który w gorące egzaminów i popisów, zamykających rok szkolny, nabrał cech wielkiego zaniedbania i podobny był raczej do wielkiej składnicy książek.

Kiedy wracał z biblioteki, dokąd odnosił był zbyteczne już teraz foljały, posłyszał za sobą na korytarzu odgłos szybko biegnących nóg, równocześnie odezwało się wołanie:

— Ojcie Atanazy, ojcie Atanazy!

Zakonnik obejrzał się i uśmiechnął. Nadbiegał chłopiec, lat może piętnastu, o jasnych wesołych oczach i twarzą bardzo delikatnej, prawie, że dziewczęcej.

— To ty, Guciu? Myślałem, że już pojechałeś.

— Miałem odjechać, nie pożegnawszy się z ojcem? Jakże ojciec mógł przypuszczać coś podobnego. Zapóźniłem się przy pakowaniu. Szukam ojca już dość dawno napróżno, wreszcie pozwoliłem sobie tu przyjść. Tak się bałem, że i tu ojca nie zastanę, a koniecznie pragnąłem się pożegnać!

— I ja cieszę się, że cię jeszcze widzę, moje dziecko.

— Bo ja chciałem ojcu jeszcze raz podziękować. Tylko dzięki ojcu przecież nawróciłem się z takiej złej drogi.

— Nie mówmy już o przeszłości. Jeżeli poczuwasz się do jakiej wdzięczności wobec mnie, okażesz mi to najlepiej, dotrzymując swych obietnic. Czy je pamiętasz dobrze?

— O tak, ojcie, wszystkie. I pokazując na palcach, z uśmiechem filuternym liczył: Po pierwsze, modlić się rano i wieczorem i chodzić codzień do Komunii świętej, po drugie, unikać towarzyszy, którzyby mnie na nowo mogli zaprowadzić na manowce, i wreszcie — dodał z zabawną minką, która wywołała dwa dołeczki w jego roześmianej buzi, — po trzecie: codzień troszeczkę popracować. — Czy pamiętałem dokładnie?

— Doskonale, — teraz chodzi tylko o wykonanie.

— Obiecuję to ojcu, przysięgam.

— Nie przysięgaj, Guciu, ale dotrzymaj i wytrwaj!

— O dotrzymam, dotrzymam, byłem zbyt niešťczęśliwy przeszłego roku.

Gdzieś daleko, na dziedzińcu odezwał się dzwonek.

— To ojciec prefekt zwołuje odjeżdżających.

— Uciekam, raz jeszcze dziękuję ojcu i do widzenia!

— Do widzenia, Guciu, życzę ci dobrych i świętych wakacyj. Obyś wrócił do nas szczęśliwie, z duszą tak pogodną, z jaką dziś wyjeżdżasz.

— Niech się ojciec za mnie modli, szepnął chłopiec, który w jednej chwili stał się bardzo poważny. Ojciec wie, w jakich niebezpiecznych będą warunkach i jak bardzo jeszcze jestem słaby.

— Żegnaj mi, drogi chłopcze. — rzekł serdecznie kapłan, — i niech cię Bóg ma w Swojej opiece.

Chłopiec pobiegł szybko na dół. Ojciec Atanazy stanął przy oknie, wychodzącym na drogę i ujrzał gromadę uczniów, których doganiał zapóźniony Gucio.

Gucio, jakby poczuł wzrok, spoczywający na nim, obejrzał się i ujrawszy ojca Atanazego w oknie, zawołał wesoło:

— Do widzenia ojcie!

Potem na samym skrócie drogi jeszcze raz się odwrócił, zdjął czapeczkę i uklonił się zgrabnie na pożegnanie.

U okna ojciec Atanazy trwał dość długo, pogrążony w wspomnieniach.

Prawda, biedny Gucio istotnie ze złej nawrócił się drogi

Ile trzeba było starań, aby go wyrwać z tych złych nałogów, które przedwcześnie trawiły chłopca. Pamięta, jak trudno było nam dostać się do tej duszy skażonej, nieufnej, ile trzeba było miłości cierpliwej i wytrwałej, aby sobie zdobyć zaufanie dziecka.

Co to za radość była, — przypomina sobie ojciec Atanazy, — gdy wreszcie otworzyła się przed nim ta biedna duszyczka, gdy Gucio zapłakany, ale szczęśliwy z odnalezienia spokoju, tulił się do niego, prosząc, by go już nie opuszczał i podtrzymywał.

Był odtąd świadkiem stałym tej ciężkiej walki, jaką dziecko staczało ze złem. Były w niej zwycięstwa i upadki, ale dziecko dźwigało się mężnie i wciąż od nowa, upadki stawały się coraz radsze, i dziś odrodzenie moralne wydawało się być dokonane pewne. Ostatni kwartał wyprowadził Gucia na drogę jasną już i prostą. Czem jednak będą dla niego te wakacje, zdala od kierownika, który znał wszelkie słabości jego i umiał w porę przychodzić z pomocą?

Niestety! Ojcu Atanazemu nie obce były niebezpieczeństwa, jakie kryje w sobie modna rodzina dzisiejsza ze swą obojętnością religijną i tem płytkim światowym życiem. Rodzice Gucia nie umieli go wtedy ustrzec, czyś potrafią go teraz ochronić od powrotu do złego? Ostatnie wakacje nie uprawniały do dobrych nadziei.

Biedny Gucio — taki jeszcze słaby i chwiejny — taki młody — czy ostoi się w tych wszystkich pokusach?

Ojciec Atanazy powoli zamknął okno i zeszedł do kaplicy, gdzie długo klęczał przed Najśw. Sakramentem.

*

Gucio uradowany wyskoczył z wagonu, lecz napróżno rozglądał się po peronie.

Nie było nikogo po niego, — nikt go nie oczekiwał.

Dwaj jego koledzy, którzy także na tej stacji wysiedli, już byli w objęciach matek, otoczeni, podziwiani, witani przez cały rój sióstr i braci.

Gucio sam jeden, z sercem trochę ściśniętem, skierował się ku wyjściu, gdzie napotkał starego Antoniego, który czekał tam i odebrał jego walizkę.

— Dzień dobry, Antoni, a gdzie mama?

— Pani wyszła zaraz po obiedzie, paniczku, i wróci wieczorem.

(Ciąg dalszy nastąpi).